

by udać, że się utopił... potem zacząłem zastanawiać się, w jaki sposób uniknąć niechybnego areztowania... Wtedy miłość dla Łucyi... ach! muszę powiedzieć, że mnie nie opuściła miłość dla tej dziewczyny!... poddała mi plan, który aż do dzisiaj wypełniałem z powodzeniem!... Przez całą noc błąkałem się po polach i dopiero nazajutrz zapukałem do drzwi Williama Duncana, udając pomieszanie zmysłów, jak gdybym rzeczywiście dotknięty był utratą pamięci. Nie mogłem przewidzieć, że zamiar mój tak mi się uda... Mówiąc prawdę, rzuciłem się na oślep w tę awanturę... William Duncan mógł mnie nie przyjąć do swej kliniki, a odesłać do komisarjatu, przez co byłbym zgubiony. Zdaje mi się, że układając swój plan, nie myślałem wcale o zabezpieczeniu siebie na wypadek niepowodzenia, lecz raczej posłuszny byłem bezwiednie jakiemuś instynktowi, który skierował mnie do domu mego rywala.

Milczałem przygnębiony tem odkryciem. Polidor przez chwil kilka siedział spokojnie, jak gdyby od poczywał, potem zapytał szeptem:

— Powiedz mi, ojcze, czy William poślubił już Łucyę?... Ona jest taka piękna, tak dyabelsko piękna!

— Synu mój, boleścią przejmuję mnie myśl, iż pomimo tych wszystkich strasznych wypadków zachowujesz jeszcze w sobie to uczucie!... Ty kochasz ciągle Łucyę Weill?

— Ciągle!

— A gdyby ci ofiarowano wolność razem z Łucyą ale zarazem i wszystkimi niebezpieczeństwami, jakie ci grożą?

— Nie zawahałbym się i dla niej naraziłbym się chętnie na wszelkie niebezpieczeństwo.

— Polidorze, rzekłem poważnie, nie jesteś godzien tego, com uczynił dla ciebie... Nie myślisz o niczem innem, tylko o Łucyi... Masz rację, w tobie jest dwóch ludzi, z których jeden nie odpowiada za drugiego... Moim jednak obowiązkiem jest zdrześć z twych oczu wszelkie złudzenie... Znam Łucyę Weill...

— Ach! domyślałem się tego — zawołał Polidor z błyszczącymi oczami...

— Znałem Łucyę Weill... Ona właśnie oblała mnie witryolem, lecz została za to ukarana!... Łucya nie żyje już!

— Nie żyje! — krzyknął Polidor, zrywając się z łóżka...

I drżąc z nienawiści, rzucił mi w oczy tę zniewagę:

— Nędzniku!

Schwyciłem go jednak silnie za rękę i powaliłem na łóżko, mimo iż miotał z wściekłością i z pianą na ustach...

— Nieszczęśliwy! — rzekłem mu. — Więcej niż litość odczuwam teraz dla ciebie... Brak słów, by wyrazić ból, w jakim mnie pogrążasz... Stałeś się matkobójcą dla takiej dziewczyny! I to jest miłość!

I bezwiednie, mimo wyrzutów, jakie mu czyniłem, przytulałem go z czułością do siebie, jakby on był pierwszą ofiarą tego straszego dramatu, który rozgrywał się w naszych sercach. W ustach moich mieszały się razem czułość z przekleństwami, w tem bowiem zwierzęciu, które zabiło swoją matkę, widziałem także swego nieszczęśliwego syna, widziałem owoc swej miłości dla Gabryeli, mej ukochanej żony. Trzymałem go silnie w swych objęciach, kochając go i nienawidząc jednocześnie, a on jęczał tylko:

— Nie żyje! Łucya nie żyje!

I nagle jakiś dreszcz wstrząsnął nim całym, a z oczu jego popłynęły po białych policzkach łzy żalu; uspokoił się zwolna, a potem szepnął:

— Umarła... Mama umarła... Łucya umarła...

Wypuściłem go z mych objęć i usiadłem spokojnie koło łóżka... Przez dłuższy czas leżał bez ruchu, poczem zapytał:

— Powiedz mi, ojcze, co mam czynić, a będę ci posłuszny!...

— Synu mój — odpowiedziałem — sam sobie wyznaczyłeś karę!... Słowa twe wyrzeczone przy zwłokach matki, zaważyły nad twym losem! Nie! Samobójstwo nie byłoby odpowiednią karą! I nie bezmyślny wypadek sprowadził cię do tego domu, choć tylko wypadek może cię stąd wyprowadzić.

— Co chcesz przez to powiedzieć, mój ojcze? — Że nigdy nie wyjdiesz już z tej celi, w której zagrzebałeś się żywcem. Przysięgam ci na to, Polidorze!

Uśmiechnął się z pewnem lekceważeniem:

— A jeżeli William Duncan zażąda czego innego?

— Ja tu będę!...

— A jeżeli ja wyznam całą prawdę Williamowi?

— Ja tu będę ciągle, powtarzam ci...

I wyjąłem z kieszeni mały rewolwer, który podsunąłem pod nos Polidorowi... Wzruszył na to ramionami.

— Za wiele się przejmujesz taką drobnostką — rzekł mi, Łucja nie żyje, to tak samo, jak gdybym ja nie żył! Cóż może teraz znaczyć dla mnie świat? Jeżeli sądzisz, że to ma być moją karą, to się mylisz.

I obróciwszy się do mnie plecami, zakrył twarz rękami i zaczął płakać po cichu...

Wstałem i wyszedłem z tej celi przygarbiony,



Uczynisz wszystko, co ci się podoba, nie pojedę jednak z tobą do Nowego Jorku.

jakgdybym niósł na sobie cały ciężar wyrzutów sumienia i bólu mego nieszczęsnego syna.

X.

Weszliśmy do sali, w której Boldini wystawił portret króla papierowego... Joe Duncan opierając się poufale na mem ramieniu, wskazał mi na to płótno i rzekł z pewną naiwnością:

— Tylko to jedno interesuje mnie tutaj! Odpocznijmy chwilę, Jonatanie.

Artysta przedstawił milionera amerykańskiego jako uosobienie siły fizycznej, nadając jego wejrzniu wyraz jakiejś ponurej zaciekleści i nieugiętego uporu.

— Wiesz, wiesz, Jonatanie, rozmawiałem o tobie z Boldinim...

— Z Boldinim?... O czym?

— O twym portrecie! I wiesz, co mi odpowiedział?

— Nie.

— Jakże pan chce, bym malował portret człowieka bez twarzy?

Poprawił swój monokl i nie zajmując się już ani Boldinim, ani jego obrazem, ani gośćmi, którzy

zwiedzali wystawę, uderzył mnie po żakowsku w kolano i zmienił odrazu temat rozmowy.

— A teraz Jonatanie, zamiast zwodzić mnie w sposób niegodny takiego człowieka jak ty, który winien mi tyle wdzięczności, powiedz otwarcie, co się wczoraj stało u mego syna?

— Byli obecni Marcadian i Ewelina... Oczekiwało ciebie, lecz sprawiłeś wszystkim zawód.

— Tak... nie powtarzaj mi jednak jak wyuczona papuga tego, co ja już wiem, lecz mów o tem, czego nie wiem... Powiedz mi, dlaczego William jest dzisiaj tak zajęty, a ty przybity i zakłopotany?

— Ten stan mój mogę łatwo wytłómaczyć wczorajszą wizytą mej córki... Wzruszyło to mnie więcej, niż mogłem przypuszczać i niż mogę to wyrazić... Widok mej ukochanej córki poruszył we mnie dawne wspomnienia i uprzytomnił mi obecne straszne położenie... Musiałem bardzo panować nad sobą, by nie zdradzić się... To wszystko!

— To nie wszystko... to nie może być wszystko, ponieważ Marcadian, ten sławny adwokat, którego coraz bardziej uważam za prawdziwego gamajdę i u którego byłem dzisiaj rano, jest jeszcze więcej wzruszony niż ty i William. Nie może to być wszystko, ponieważ córka twa Ewelina nie miała sił wstać dzisiaj od doznanych wczoraj wrażeń.

— Jak? Co? — zerwałem się ze swego miejsca — Ewelina leży dzisiaj śpiąc?

— Bądź spokojny, Jonatanie!... Niema żadnego niebezpieczeństwa... Powiedz mi otwarcie, o ile można wierzyć słowom Marcadiana, którego zachowanie intryguje mnie... Marcadian dał mi poznać niewyraźnie i niejasno, że małżeństwo Williama z Ewelina napotka z pewnością na nieprzewidziane przeszkody... Wyznaj mi szczerze, jakie to są przeszkody?...

— Niema żadnych przeszkód! — rzekłem stanowczo.

— Twoje gwałtowne zaprzeczenie wskazuje mi właśnie, że zamierzasz usunąć te przeszkody... A przysięgam...

— Nic nie mogę narazie powiedzieć, — odparłem zakłopotany nalegaaniem tego upartego człowieka.

Roześmiał się znowu swym zwykłym śmiechem, który tak mi działał na nerwy i uderzając energicznie pięścią o poręcz ławki, na której siedzieliśmy, oznajmił mi uroczyście:

— Ponieważ nie potrzebuję się uciekać do żadnych wykrętów i bawić się w subtelności, a mam tyle szczerości, ile ty hipokryzyi, mówię ci więc otwarcie, Jonatanie, że ja, Joe Duncan, żądam stanowczo, by to małżeństwo odbyło się... odbyło się stanowczo, rozumiesz mnie?

— Nie jestem głuchy!... Możesz być przekonany, że się odbędzie. Nie na próżno jestem panem położenia!

— Zamieniasz rolemi, mój przyjacielu... Jest to zresztą nieszkodliwa próżność, której ci nie chcę odzierać!... Nie długo jednak będziesz się nią cieszył! Nie mogę cię wtajemniczać w me zamiary... Muszę cię uprzedzić o jednej tylko rzeczy... Jest bardzo możliwe, że nie doczekamy się ślubu naszych dzieci przed odjazdem do Nowego Jorku, dokąd wzywają nas interesa.

— Och! przepraszam! — zawołałem, protestując.

— Niema żadnego przepraszam — mówił prędko — ja rozkazuję!... Placę i żądam posłuszeństwa.

Podniosłem się z ławki, na której siedziałem i stając naprzeciw tego człowieka, jakbym rzeczywiście mógł z nim walczyć, rzekłem mu spokojnie:

— Uczynisz wszystko, co ci się spodoba, nie pojedę jednak z tobą do Nowego Jorku!... Mogę na twe żądanie odgrywać niewdzięczną rolę ojca Williama, mam jednak do wykonania jeszcze inną, naturalną rolę, której ty mi nie możesz odebrać i której ja nie mogę się pozbyć, a jest nią rola ojca drogiej córki...

(Ciąg dalszy nastąpi).